

SPIS TREŚCI

Czasem ktoś cię znajdzie, nawet gdy nie szukasz	9
Człowiek żyje, dopóki żyją jego historie	17
Działanie pozwala odkryć Sens, a Sens prowadzi do działania	21
Nie mam człowieka	27
Być miłością, której szukam	33
Osamotnienie zubaża. Odosobnienie wzbogaca	39
Miłość to cnota. A cnotę można ćwiczyć. Jak mięśnie	43
A co Jezus zrobiłby na moim miejscu?	49
Moją jedyną polityką jest miłość	53
Współkochać przyszłam, nie współnienawidzić	63
Kiedy zostaje tylko TU I TERAZ	71
A jeśli miłość jest słuchaniem?	79
Wiara to spotkanie	83
Pustynia w wielkim mieście	91
Być wszystkim dla wszystkich	99
Doktor Dziunia	109
Tak mała, jak ziarenko piasku	115
I co dalej?	121
Jego miłość nigdy nie zasłaniała światła	125
Idź z tym do Józefa	131

Za kratami, ale szczęśliwa	137
Kiedy Bóg mówi, zaczyna od uczuć	143
Jeśli śpiewa serce, to zawsze czysto	147
Każdy dzień jako akt miłości	153
Zawsze najpierw wysłuchała	161
Daj, co nakazujesz, i nakazuj, co chcesz	169
Dzień, kiedy Bóg milczy	173
Boski GPS	181
Miłość silniejsza niż strach	187
Kto się na Tobie pozna?	197
Czy mam być smutna, kiedy pełnię wolę Bożą?	205
Każdy ma w ręku różę	209
Z rękopisu Hedwige Popiel OCD	
Modlitwa Jezusa	217
Trwajcie w mojej miłości	265
Chleb życia	281
Ta książka też ma swoją historię	289
Wdzięczność to otwarte okno do nieba...	
Albo najgłębsza forma miłości	331

MIŁOŚĆ SILNIEJSZA NIŻ STRACH

Na tym zdjęciu wygląda jak Madonna. Wysoka, w białym rozkloszowanym płaszczyku, spod którego wystaje spódnica. Patrzy lekko w bok. Ciemne włosy, odsunięte z czoła, gładko zaczesane do tyłu w warkocz albo kok, odsłaniają owal dosyć okazałej głowy. Ciemno zarysowane brwi i rzęsy okalają podobno niebieskie oczy. Jeśli się uśmiecha, to bardziej do wewnątrz. Na rękę trzyma dziecko, niemowlę. Chyba chłopczyka, też na białą, choć nóżki ma owinięte w kolorowy kocyk, żeby nie zmarzł. Jasnoblond główkę przechyla w stronę mamy. Wiktoria drugą dłonią podtrzymuje nadgarstek pierwszej. Żeby synek bezpiecznie się trzymał. Jak na świętych obrazkach.

Zresztą grała już kiedyś Matkę Bożą w jasełkach. I w *Kościuszcze pod Raławicami*. W amatorskim teatrze wiejskim grywa także jej późniejszy mąż. Podobno sam Leon Kruczkowski podziwia go na scenie w swoim *Kordianie i chamie*.

Mimo że słynąca z zaradnych gospodarzy Markowa jest wtedy jedną z największych wsi w Polsce, Józef swoimi talentami mógłby obdzielić wszystkich mieszkańców. Wiktoria, na pozór nieśmiała introwertyczka, z bliższym poznaniem ciepła i gościnna. I błyskotliwa! Jej bratanek wspomina, jak bez trudu pomogła mu rozwiązać i wytłumaczyć trudne zadanie z matematy-

ki. Jej mama nigdy nie usiadła z nią do lekcji. Straciła ją, jak miała sześć lat.

Józef, wesoły, otwarty, kipiący energią i dusza towarzysztwa jest przyjacielem jej brata. O dwanaście lat starszy, jednak szybko zdobywa serce Wiktorii. I już po kilku miesiącach biorą ślub. Na dzwonie kościoła św. Doroty, w którym idą do ołtarza, jest łaciński napis: „Póki mamy czas, czynmy dobro”. Oni będą mieli na to dziewięć lat.

Jak on jest za nią! Życie ich nie rozpieszcza, ale w sobie i w Bogu zawsze znajdują oparcie.

We wsi wiedzą, że można do nich zapukać o każdej porze. A i wejść bez pukania też można. Po sadzonkę drzewka owocowego, słoik miodu, książkę czy dobrą radę. Taka rodzina społeczników. Do tańca i do różańca. Łatwo tam trafić, nawet po nocy, bo ich dom pierwszy we wsi ma prąd. Józek podłączył żarówkę do wiatraka i można było pochować lampy naftowe. Za to pojawiają się u nich kolejne nowości własnej produkcji: maszyna introligatorska, radjoko i aparat fotograficzny. Z roku na rok przybywa im książek, każda ozdobiona rodzinnym exlibrisem. I czarno-białych zdjęć, które dokumentują życie powiększającej się ku radości rodziców niemal każdego roku rodziny. A także całej wioski.

Józef jest nie tylko zapalonym fotografem i bystrym obserwatorem. Jak Caravaggio wie też, że najpiękniejsze zdjęcie jest wtedy, kiedy w cieniach złapanego na gorąco życia uchwyci się światło. Najbardziej poruszają mnie jego zdjęcia dzieci przy kuchennym stole...

Szczególnie najstarszej córce Stasi. Szczupłej blondyneczki o prostych włosach. Na jednym robi wielką bańkę z mydła. Na innym pochylona nad rozłożonym zeszytem mama uczy ją pisać. Zeszyt jest owinięty starannie w papier do pakowania. Stasia śledzi ruchy matki nad otwartą książką.

I to, gdzie jedną ręką trzyma pióro, a drugą, w pełnym skupieniu zakręca kałamarz... Jakby przeczuwała, że w swoim ośmioletnim życiu nie napisze już kolejnej strony. Jakby poznała już Światło.

I jeszcze to jedno zdjęcie, postrzępione na brzegach. A na nim dwie uśmiechnięte dziewczyny z gwiazdą Dawida na opasce i małym dzieckiem na kocyku. A w głębi





chłopak na rowerze, który patrzy wprost na fotografa. Jakby to on chciał zatrzymać go w kadrze. Zdjęcie jest biało-czarne. Tylko plamy z krwi na nim tak okrutnie czerwone.

W swojej sfatygowanej od ciągłego wertowania książce *Dzieje biblijne Starego i Nowego Przymierza* Wiktorja albo i Józef podkreślają czerwoną kredką dwa fragmenty:

„Nie ma miłości większej od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich”.

I drugi: „Przykazanie miłości”. – Miłosierny Samarytanin. Numer strony, u góry, w ich rodzinnej biblii



jest otoczony kółkiem i zaczerpniony ołówkiem, a niżej – przy tytule rozdziału widać jeszcze dopisane, podobno ręką Józefa, jedno krótkie słowo.

Trzy litery, które zadecydują o życiu Wiktorii, jej męża, i ich dzieci: Stasi, Basi, Władzia, Franusia, Antosia, Marysi. I tego siódmego, które poczyna się już w czasach, kiedy rodzina daje schronienie znajomym Żydom z okolicy. Ma się urodzić na wiosnę 1944 roku.

Wiedzą, że mogą zginąć. Wszyscy w czasie wojny wiedzieli, co za to grozi. A jednak dwudziestu dziewięciu Żydów znajduje u dziewięciu rodzin z Markowej, koło Łańcuta, gościnny dach. Najliczniejszą grupę przyjmują Ulmowie.

Może się modlili, żeby tym razem nikt do nich nie zapukał. Może chcieli odmówić. Może się obawiali, jak wyżywią w tych wojennych czasach, gdzie ledwo starczało dla dzieci, aż szesnaście osób. Może się bali, że ich wszystkich zabiją. Może rozważali większe i mniejsze zło. I nie chcieli ryzykować życia swoich dzieci. Może chcieli tylko spokojnie, normalnie żyć.

A jednak te trzy litery, napisane kiedyś ołówkiem w książce, która była ich biblią, dają im siłę. I mówią Saulowi Goldmanowi, znajomemu handlarzowi bydła, który z czterema synami staje na progu ich domu i prosi o ratunek: tak. I tym dwóm córkom tutejszego sklepikarza, Gołdzie i Layce, sąsiadkom, które błagają ich o pomoc, ta jedna ze swoją córeczką. Im także mówią: tak.

Tak po sąsiedzku. Zwyczajnie. Z troską. Z miłością. Bo są wartości ważniejsze dla nich niż życie. Bo Bogu się nie odmawia.

Od tamtej jesieni 1942 roku przez kilkanaście miesięcy żyją pod jednym dachem. W jednej izbie na dole ósemka Ulmów. A oni mają na strychu zrobioną kryjówkę, do której wchodzi się po drabinie. W dzień mężczyźni wspólnie nawet pracują przy garbowaniu skór, bo dom jest położony na uboczu i dobrze widać z niego drogę, jeśliby ktoś się nią zbliżał. Kobiety czasem razem gotują. A dzieci razem się bawią.

Każde modli się na swój sposób. A może modlą się razem? Albo Józef, jak to zrobił i jego sąsiad, dał im swój modlitewnik, żeby nauczyli się „Ojcze nasz... który je-

steś w Niebie... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Pewnie wieczorami czytają na głos książki albo czasopisma z nowinkami technicznymi, prenumerowane przez pana domu, i planują, co zrobią, jak już ta wojna się skończy.

O 4.30 nad ranem, 24 marca 1944 roku pod dom Ulmów zajeżdżają cztery furmanki żandarmów i granatowej policji. Łomot do drzwi, seria strzałów w sufit, ciężki tupot buciorów po szczeblach drabiny. Wiedzą, gdzie szukać.

Wystarczyło kilka słów człowieka, który nawet na początku pomagał w Łańcucie Goldmanom. Ale potem wygonił ze swojego serca miłość. A zaprosił chciwość. Jakiś czas wcześniej przyszedł do Józefa, niby żeby zrobić sobie zdjęcie. Podobno przyniósł nawet dzieciom cukierki. I wszystko dokładnie obejrzał.

Kilka śmiercionośnych słów.

On także potem od nich zginie.

Sufit jest podziurawiony jak sito. Zaczyna z niego kapać krew trójki Żydów ledwie wybudzonych ze snu. Pozostała piątkę sprowadzają na dół. I tak zabijają wszystkich. Całą ósemkę. Ojca, kobiety i dzieci.

Patrzy na to Wiktoria i Józef. Pewno mocno tulą do siebie przestraszone swoje dzieci: Stasię, Basię, Franusia, Władzia, Antosia. I najmłodszą Marysię, która jeszcze nie umie mówić. Pocieszają, ocierają im łzy, choć dobrze wiedzą, co się za chwilę stanie. Może choć dzieci oszczędzą?

Jedyny Bóg wie, co Mu w tych ostatnich minutach mówi. Czy żałują swojego „tak”? Czy też szepczą: „Ojcie, przebacz im... i bądź wola Twoja”.

I co mówi im Ojciec.

Wiktoria jeszcze widzi, jak od kuli w głowę ginie jej mąż. Zaraz potem sama oddaje Bogu ducha. Oprawcy narażają się przez moment, co zrobić z dziećmi.

– Zostawmy.

– Ale po co mają być ciężarem dla gminy?

Noc powoli zamienia się we wiosenny już dzień. Ale nie słychać ptaków. Kolejne serie wystrzałów rozrywają spokój poranka.

Jedna z mieszkanki Markowej wspomina:

– Ja pamiętam tamtą noc. Nie widziałam, ale słyszałam. Najbardziej przerażające było to, jak zastrzelili rodziców. Na całą wieś słychać pewnie było to, co ja słyszę do dzisiejszych dni – wołanie i płacz dzieci. Coraz cichsze. Tak, za każdym razem, kiedy rozlegał się strzał, wołania były cichsze, bo ich już ubywało. Aż wreszcie umilkły.

Jest piątek. Właśnie wschodzi słońce. Na ziemi, w kałuży krwi i błota, leży szesnaście ciał. Choć zabitych jest siedemnaścioro.

Gdzie był wtedy Bóg? Czy nie mógł ich uratować?

Był z nimi. Na krzyżu. Byli jedno. On w nich, a oni w Nim. W tej miłości, która życie swoje oddaje za przyjaciół.

Oprawcy zgadzają się, by ich pochować w dwóch oddzielnych dołach, które każą wykopać mieszkańcom wioski. Kilka dni później pod osłoną nocy brat Józefa Władek z kilkoma innymi odkopią ziemię i powkładają ciała brata i bratowej oraz ich dzieci do czterech, zbitych z desek na dom, skrzynek. To wtedy zauważą siódme dziecko Wiktorii, które zaczęło wychodzić na świat. Choć nigdy go nie zobaczy.

Nie ma miłości większej od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich?

A jak wielka to miłość, kiedy ktoś oddaje nie tylko swoje życie, ale i swoich najbliższych. W imię bycia człowiekiem.

Jestem mamą. I bez wahania oddałabym moje życie za syna. Ale ryzykować jego życie za czyjeś inne życie? Taka miłość jest po ludzku niemożliwa. Nie do pojęcia. Nie do wytrzymania.

Taka miłość może być tylko z Boga.

I taka miłość zostaje uświęcona. I zostaje uświęcone ich męczeństwo. Po raz pierwszy w historii zostaje beatyfikowana cała rodzina – matka, ojciec i siedmioro dzieci. Stoją wszyscy razem, uwiecznieni na obrazie z boku ołtarza, w czasie beatyfikacyjnej mszy. Wygląda jak biało-czarna fotografia, której dodano kolor. Wokół ich głów dodano delikatną aureolę światła. A mnie najbardziej wzrusza to cienkie półkole światła, nad wystającym brzuchem ciężarnej Wiktorii. Święte dziecko, które,

choć ma nazwisko, to jeszcze nie zdążyło mieć swojego imienia. Tu, na ziemi.

Błogosławieni, czyli szczęśliwi. Razem weszli do nieba. Otworzyli je sobie sami bezwarunkową miłością. Silniejszą niż strach.

Z pozostałych rodzin wszyscy ocaleją. Lęk nie zabił braterstwa. Nawet, kiedy dowiedzieli się o tragedii u sąsiadów.